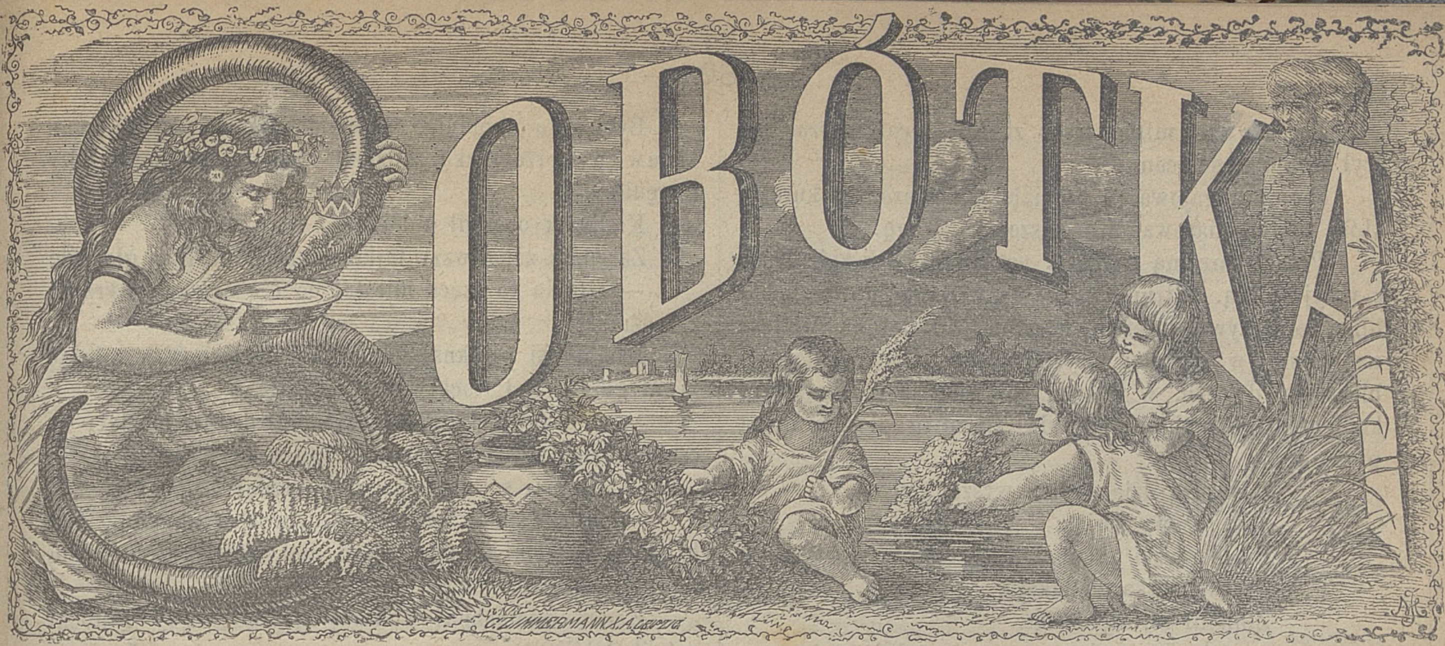


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 11. Poznań, dnia 13 Marca 1869. Rok. I.

Od Redakcyi.

W nejbliższym numerze Sobótki rozpoczniemy druk powieści J. I. Kraszewskiego pod tytułem: „W mętnéj wodzie" oraz rozprawy Dr. Karola Libelta: „O rozwoju narodowości."

Nabytek świeżych sił pisarskich i zawiązanie stósunków z krajowymi drzeworytnikami dozwolą nam teraz podnieść pismo nasze pod względem literackim i w rycinach naszych uwzględniać więcéj rzeczy ojczyste.

Donosząc o têm szanownym abonentom Sobótki, upraszamy ich o wczesne odnowienie przedpłaty na przyszły kwartał.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki**,

(Dalszy ciąg.)

Kościuszko czule pożegnał Tocię i matkę, polecając się przyjacielskiéj pamięci panny Orlewskiéj. Całe grono ruszyło ku karczmie, jenerał zaś samotny wrócił do domu gajowego.

Prezes powitał najserdeczniéj doktora.

Około północy wszyscy pożegnali go wraz z żoną i pannami.

Potocki, Zaremba i Kniaziewicz dosiedli koni, Janusz zatrąbił pojezdnego i ruszyli z powrotem. Pojazd doktora nadjechał: Stakenszmitt wsiadł w niego z Raciborskim, odprowadzony przez prezesa i razem z rotmistrzami ruszył gościńcem.

Gajowy z żoną czekał z utęsknieniem na powrót jenerała, aby pokazać mu swe uszczęśliwienie, że mógł go poznać bliżéj. Ale widząc, jak szedł zwolna z opuszczoną głową, ocierając oczy chustką, przygnębiony jakąś boleścią; nie śmieli ust oboje otworzyć.

Kościuszko usiadł na ganku milcząc i wlepił wzrok swój w oddaloną karczmę, gdzie ruch był niezwykły.

Towarzysze jego dosiadali koni, a Janusz wygrywał pojezdnego. —

— Czy nie macie gosposiu dzieci? — zapytał po długiém milczeniu. —

— Mamy tylko, jaśnie panie jenerale, jedynaczkę! — odpowiedziała, schylając się do jego kolan. —

— Moja matko, poproś dzieweczki swojéj. Chcę ją poznać. —

— Jagusiu! Jagusiu! zawołała; wnet wybiegła dziesięcioletnia dziewczyna, świeża i rumiana, schludnie przybrana, ale z bojaźnią stanęła w kąciku na widok pana.

Kościuszko dał znak, przyciągnął do siebie, a pogładziwszy po pełnéj twarzyczce całując ją, wsunął jéj dwa dukaty złotem na korale. —

Skraśniało dziewczę, nie wiedząc co robić, a gajowy z żoną z głośnym radośnym płaczem upadli przed nim na kolana.

— To nasze szczęście wielkie! mówił gajowy przerywanym głosem: widocznie Bóg nam błogosławić będzie i naszéj Jagusi.

Kościuszko, wzruszony do głębi duszy, podniósł poczciwych ludzi i uściskał.

W tę chwilę nadjechali towarzysze b[illegible] i doktór. Wyskoczył z pojazdu Raciborski, dosiadł siwosza swego a gajowy wyprowadził białonóżkę. Stakenszmitt pożegnał skinieniem ręki przyjaciół, spiesząc do Międzyborza. —

— Janusz! — krzyknął wesoło rotmistrz Zaremba, — zatrąb teraz naszę pobudkę: tam będą damy wiedziały, że ruszamy w drogę!

Trębacz po mistrzowsku zagrał: a cały orszak ruszył wolno gościńcem.

Poczciwa gajowa zapomniała o upieczonym kuraku, który miała ofiarować Kościuszce na drogę!

Przed karczmą siedziały na ławeczce niskiéj Tocia z przyjaciółką. Strumień, co się wił w dąbrowie, w pobliżu przepływał krętém korytem. Dziewoja wiejska nabrawszy w dzbanek czystéj wody, wracając do najbliższego dworku, w którym mieszkał z rodziną stary konfederat barski, zaśpiewała ślicznym głosem znaną piosenkę:

„Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,
Jak różowy kwiat:
Białe rączki załamała,
Czarne oczka zapłakała,
Zmienił jéj się świat.
— „A czego płaczesz, czego żałujesz,
Dziewczyno moja?
— „Jakże nie mam płakać, jak nie mam żałować?
Nie będę twoja.“

Rzewna nóta melodyi wzruszyła obie dziewice: Tocia drżącą ręką pochwyciwszy dłoń przyjacółki, rzekła:

— Słyszysz, Teklusiu? i zanóciła na wpół z płaczem:

„Jakże nie mam płakać, jak nie mam żałować?
Nie będę twoja!“

— O dobrze! dobrze — mówiła daléj, że téj pieśni nie słyszy Tadeusz!

Ach! Tekluniu, smutna to wróżba dla mnie!

W tę chwilę wyszła panna Brygida, wzywając na spoczynek, bo już dawno po północy i już drugie kury dają znać o świtaniu.

XII.

Za powrotem do Międzyborza dowiedzieli się od posła Morskiego Kniaziewicz i Potocki, że to on namówił i zachęcił chorążankę, aby ojcu wyznała swą miłość i przebłagała zawziętość jego przeciw Kościuszce.

Żurowski wysłuchał cierpliwie téj spowiedzi, pohamował gniew gotowy do wybuchu z obawy nieprzestraszenia swéj żony, płakał ze swą kochaną Tocią razem, ale stanowczo odmówił pozwolenia swego na związek małżeński z jenerałem.

— Ja jadę do mojéj bratowéj kasztelanowéj — mówił Morski. Starajcież się rozrywać naszego Amerykanina w smutku i boleści. Z natury skłonny do dumania, lękam się, aby nie wpadł w czarną melancholią. — Ty, rotmistrzu — zwracając się do Potockiego — i ty, rotmistrzu — wskazując Zarembę — razem z nimi, których tak kocha — rzekł, biorąc za ręce Kniaziewicza i Raciborskiego — połączcie braterskie usiłowania, żeby jenerała nie zostawiać w samotności. Wiem tylko jeden sposób, coby oderwał jego myśl od smutku....

— A jaki? a jaki? — zapytali wszyscy razem.

— Tylko wojna! a do téj nie ma teraz żadnego podobieństwa. Bywajcie mi zdrowi, kochani przyjaciele; idę do Kościuszki na pożegnanie.

I uściskał wszystkich po kolei.

Potocki zaprosił towarzyszów do swéj kwatery na radę walną, co obmyśléć należy, żeby wynaleść rozrywkę jenerałowi.

Było koło południa. Gospodarz kazał podać starą litewkę i przegryzkę, złożoną z chleba, masła, bryndzy i wędliny.

Kieliszek obszedł kolejką.

Zaremba zapaliwszy fajkę, rzekł poważnym głosem:

— Głupia to rzecz miłość! co téż ona nie wyrabia z ludźmi!

Raciborski parsknął śmiechem, Kniaziewicz milcząc kiwał głową, a Potocki odpowiedział:

— Mój rotmistrzu, wielkąś prawdę powiedział: — czuje to dobrze nasz poczciwy Tadeusz....

— Czuje i sam rotmistrz — dodał Raciborski....

— Milcz, smarkaczu! — z dobrotliwym uśmiechem krzyknął Zaremba, puszczając mu gęsty kłęb dymu w oczy. —

Kadet odmuchnął chmurę gryzącą, gdy Potocki mówił daléj:

— No to jeszcze nic, gdy się kawaler z panną pokochają....

— Jak nie przymierzając nasz kochany rotmistrz z panną Brygidą — przerwał Raciborski.

— Dajcie mi tu pistoletu, albo dubeltówki, albo moździerza czy haubicy, żebym raz sprzątnął tę srokę! — krzyknął niby gniewny Zaremba, a ściskał i całował młodego kadeta.

— Ale ja wam powiem co lepszego. Znacie Kozietulskich? Pobrali się z prawdziwéj miłości i posfwarzywszy się z sobą, poszli do rozwodu. Potém znowu zakochali się szalenie w sobie i ślub powtórzyli przed jedenastu laty. W rok późniéj uszczęśliwieni kołysali dzielnego chłopca, co im się urodził w Skierniewicach. Teraz ma już lat dziesięć, dobrze jeździ na koniu i myślę, że będzie z niego tęgi żołnierz, mospanie *)!

— Ależ przystąpmy do walnéj narady, — przemówił milczący Kniaziewicz.

— Ja sądzę — rzekł po chwili namysłu Potocki, — że najlepiéj będzie wezwać pomocy dam do tego; one najlepszy znajdą na to środek. Ja pojadę do księżnéj Sapieżyny, wstąpię i do pani Grabianczynéj: Kniaziewicz niech jedzie do dobréj przyjaciółki Kościuszki, kasztelanowéj Morskiéj, gdzie znajdzie i naszego posła. Rotmistrz Zaremba odwiedzi Bejzymów...

— A mnie czy nigdzie nie wyprawicie? — zawołał płaczliwym głosem Raciborski.

— Mój Józiu — odrzekł Potocki — stryjenka twoja mieszka blizko Ihnatowic prezesa. Wpadniesz do niéj, niby ją stęskniony odwiedzisz, ale zarazem zobaczysz się z chorążanką.

— I z panną Teklą!

— I z panną Brygidą! — przemówili razem Kniaziewicz i Zaremba.

— I zapewne słodkie od nich bileciki wam przywieść! — dodał kadet, uśmiechając się wesoło.

Kościuszko w chwili téj narady siedział zamyślony nad mapą Rzeczypospolitéj i zakreślał na niéj jakieś linie i znaki. Pewny miłości swéj ukochanéj, wrócił do ulubionych zajęć: czytania, rysowania i zadumki.

Jędrzéj tymczasem pomagał Januszowi, który, je-

*) Przepowiednia się sprawdziła. Jest to ten sam sławny Kozietulski, co zdobywał wąwozy Somo-Sierra w Hiszpanii.

żeli trąbił wybornie pobudkę i pojezdnego, nie mniéj był doskonałym kucharzem.

Podług umowy swojéj dzień po dniu, zacząwszy od rotmistrza Potockiego, rozjeżdżali się nasi przyjaciele w okolice na narady. Jakoż ze wszystkich stron odbierał zaprosiny Kościuszko.

W parę dni odwiedził najbliższy dwór Bejzymów, gdzie zastał księżnę Sapieżynę z córką. — Księżniczka, która do grona swoich wielbicieli pragnęła policzyć i Amerykanina, z zachmurzoném obliczem go powitała, dowiedziawszy się o gorącéj Kościuszki miłości dla Tekli Żurowskiéj. Nie umiała i nie chciała ukrywać swego gniewu i rozjątrzenia.

Te odwiedziny zepsuły jenerałowi dobry humor, z jakim przybył do Bejzymów: skrócił więc swój pobyt i jeszcze smutniejszy, jak dawniéj wrócił do swéj kwatery.

U kasztelanowéj Morskiéj znalazł przecie serdeczne, gościnne i prawdziwie przyjacielskie przyjęcie. Nie potrzebował ukrywać swego przywiązania do chorążanki, które gospodyni domu pochwalała ze współczuciem. Tu téż bawił ochoczo i swobodnie, a zacną kasztelanową uważał jako wielką swoję przyjaciółkę.

Raciborski nie odwłóczył ułożonego zamiaru: prosił Kościuszkę o urlop, nie mówiąc, gdzie ma zamiar jechać i nazajutrz Międzybórz opuścił.

Żurowski za przybyciem do swego dworu w Ihnatowicach, odetchnął z całą swobodą. Stał się jeszcze więcéj troskliwym o zdrowie swojéj panienki i czulszym dla córki. Spokojny o jéj wykradzenie, zachmurzał nieraz czoło z powodu podejścia i oszustwa szambelana, który znikł jak kamień w wodzie. Zajęty gospodarstwem, w kilka dni przypomniał sobie dopiero, że na list Kościuszki, doręczony sobie przez Kniaziewicza, nie odpisał dotąd pomimo danego przyrzeczenia.

Długo rozmyślał i zadumany w swojéj kancelaryi siedział. Dobył wreszcie z pugilaresu list naszego jenerała i z uwagą począł odczytywać.

Kościuszko pisał go w wielkiém rozdrażnieniu, odebrawszy list prezesa, w którym wyrzucał mu zamiar wykradzenia córki. Czytał go już w Międzyborzu, ale pragnąc dać odpis, na nowo punkt za punktem przebiegał oczyma.

Zamiar zerwania ostatecznie z Kościuszką i odmówienia ręki córki stanowczo powziął. Do różnicy wieku, która była znaczna bo jenerał liczył czterdziesty piąty rok życia, a Tocia kończyła siedemnastą wiosnę, łączyła się uwaga, że jako żołnierz, powołany na pole walki, łatwo zginąć może i wcześnie owdowiałą żonę pozostawić. Przygody życia, które mu dały sławę, w jego umyśle przedstawiały charakter awanturniczy. Nie miał w ostatku pewności, czy rzeczywiście wieś dziedziczną posiada. Nie wahał się więc w swojém postanowieniu.

— Mojéj Toci potrzeba szlachcica gospodarza — nie wojaka: spokoju— nie obozowych przygód.

Tak w myśli sobie powiedział i zaczął z całą uwagą list Kościuszki odczytywać na nowo. Ten sam list po pierwszém odczytaniu swego czasu otworzył Kościuszce drzwi domu prezesa.

Teraz zadumał się Żurowski i sparł głowę na ręku, gdy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Co rychléj schował list otwarty i odsunął zasuwkę, a po chwili weszła siostra Brygida z ożywioném nie zwykle obliczem.

Przyszłam donieść panu bratu, że do sąsiadki naszéj przyjechał wczoraj dobrze nam znajomy kadet Raciborski.

Żurowski uradował się podwójnie — raz, że młodego chłopca pokochał szczerze, a powtóre, że zdarzała mu się dobra sposobność przesłania odpisu jenerałowi.

A trzeba go prosić do nas: niech Walenty zaraz rusza i prosi na obiad. A wykłócę się z nim i za uszy pociągnę, żeby być tak blisko i nie odwiedzić zaraz. Biegnij Brygisiu i wysyłaj kredencerza.

Panna Brygida nie traciła czasu, a Walenty w pół godziny na polówce przywiózł kadeta.

Ożywił się cały dwór osmutniały w Ihnatowicach. Prezes przyjął go tak serdecznie, jak syna. Raciborski doręczył liściki pannie Tekli od Kniaziewicza i Brygidzie od Zaremby.

A do mnie — przemówiła rzewnym głosem Tocia — nie masz ani literki?

Raciborski opowiedział jéj szczerze smutek Kościuszki i układ, jaki mieli między sobą.

— Jenerał nie wiedział, gdzie jadę, nie pytał o to i jam mu nie powiedział. Chciałem tylko państwo widzieć i dowiedzieć się, czy jakiéj pociechy ztąd nie potrafię mu przywieść.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przy nocnym kaganku.

W izbie mroźno, krzepną dłonie,
Słychać głuchy szum zamieci,
Bladém światłem lampka płonie,
Bladą twarzą dziewczę świeci.

Coraz bardziéj pierś ostyga,
Coraz słabiéj serce bije,
W pilnych palcach igła miga,
I wciąż szyje... szyje.... szyje....

Zorza łunę tleje jasną,
Ona szyje do ostatka,
Tam — na niebie gwiazdy gasną,
Tu — na ziemi kona matka!

O! miej ufność matko biedna!
Pan Bóg wejrzy, łzy utuli,
Jeszcze tylko wstawka jedna
W batystowéj téj koszuli.

Ot, już praca nie daleka,
Mocy Bożéj ufać trzeba!
Ja ci matko kupię mleka
I białego kupię chleba!

Cicho, cicho, ani jęku,
Słońce wschodzi — pomrok kona,
Igła w pilném miga ręku!
I.... koszula już skończona!

Oh! radości tu niemało!
Aż weselsze serca bicie!
Ciszéj mała... słońce wstało,
Lecz zagasło matki życie!

I nie słychać ni słów skargi,
Ani jęki płyną łzawe,
Tylko ścięte sine wargi,
I zawarte oczy krwawe.

Kraków r. 1868.

Władysław Bełza.



Jenerał Grant

Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Jenerał Grant.

Prezydent Stanów Zjednoczonych

4 marca 1869.

Arystokracya i demokracya, rzeczpospolita i monarchia: stare to hasło, w imię których od półtrzecia tysiąca lat ludzie zacięte toczą boje na słowa i miecze, za które strumienie krwi zrosiły pola bitew i kilka beczek atramentu na papier się polało. Lecz jak ów okrzyk wojenny, którym Hohenstaufy i Welfy swych stronników do walki nawoływali, zmieniwszy z postępem czasu swe znaczenie, stał się hasłem dwóch wielkich stronnictw, które przez długie lata walką swą całe Niemcy i Włochy zakłócały i brzmiał jeszcze głośno we Włoszech, gdy już dawno Hohenstaufów nie stało, — tak i owe hasła stronnictw politycznych trwają tylko co do formy niezmienne i stałe od wieków, a znaczenie ich zmienia się często i szybko, a nawet w tym samym czasie bywają one u różnych narodów różnie rozumiane. Wzięliśmy te słowa w spadku po starożytnym świecie, a jakżeż nasze pojęcie demokracyi i arystokracyi odbiegło od znaczenia tych słów u Rzymian i Greków; albo cóż wspólnego ma dzisiejsza konstytucyjna monarchia z monarchią Ludwika XIV, lub Karóla Wielkiego? Ostatnie dziesięciolecie przyniosło tym wyrazom cale inne znaczenie. Czas ten odbrzmiewał walką dwóch stronnictw amerykańskich: demokratów i republikanów. Demokraci i republikanie we walce z sobą? to prawie niezrozumiałe dla nas. Czyż demokraci amerykańscy zamyślają obalić rzeczpospolitą i na jéj gruzach wznieść tron demokratycznego cezara, a republikanie stanęli naprzeciw nich w obronie staréj konstytucyi? Bynajmniéj; inne cele tych stronnictw, chociaż stare hasła wypisały na swych chorągwiach.

Sprawa zniesienia niewoli murzynów zrodziła te stronnictwa. Gdy plantatorzy Stanów Południowych wbrew żądaniom większości całego społeczeństwa amerykańskiego trzymali swych murzynów w ciężkiéj niewoli, opierając się na prawie bezwzględnéj autonomii w sprawach wewnętrznych każdego pojedyńczego państwa, dążyli zwolennicy emancypacyi, abolicyonistami zwani, do zniesienia niewoli za pomocą rządu centralnego, chociażby wbrew woli pojedyńczych państw. Stany Południowe opierały, zrywając węzły federacyi, rzekome swe prawo secesyi na doktrynie demokratycznéj, podczas gdy Stany Północne w imię zasad republikańskich zbrojno całości unii broniły. Z jednéj strony usiłowano utrzymać niewolę murzynów pod pozorem, jakoby instytucye lokalne nie mogły być zniszczone uchwałami kongresu, z drugiéj zakonstatowano przewagę rządu centralnego właśnie zniesieniem niewoli przez kongres i rząd. Celem demokratów amerykańskich była decentralizacya zupełna, ich wyznaniem wiary, że władza centralna, reprezentowana przez rząd i kongres waszyngtoński, nie ma prawa nawet do mięszania się w sprawy wewnętrzne pojedyńczych krajów, podczas gdy republikanie w celu wyemancypowania murzynów tę autonomią umniejszyć pragnęli. Wszakżeż ów bohater południa, jenerał Jackson, zwany „murem kamiennym“ (stonewall), powtarzał, że wziął się do oręża jedynie w obronie starodawnéj niepodległości (old dominion) Wirginii.

Po ukończeniu wojny nie ustała walka dwóch tych stronnictw. Chodziło o rekonstrukcyą unii: demokraci żądali natychmiastowego przywrócenia wszelkich praw zbuntowanym stanom i pozostawienia im wolności urządzenia się u siebie podług swéj woli, żądali przywrócenia praw obywatelskich nawet naczelnikom konfederacyi, a występowali ostro przeciw nadaniu murzynom praw politycznych. Tém pewniejsi zaś byli zwycięstwa, ile że prezydent Johnson otwarcie ich popierał, a partya republikańska rozpadła się jednocześnie na radykalnych i umiarkowanych. Umiarkowani stali twardo przy emancypacyi negrów, byli nawet za nadaniem im przynajmniéj w części praw politycznych, lecz pragnęli jednocześnie przywrócić Stanom, które były wzięły udział w konfederacyi, wszelkie prawa, skoro się tylko zobowiążą szanować uchwaloną przez kongres poprawkę do konstytucyi, murzynów dotyczącą. Radykalni zaś uważali pokonane zbuntowane Stany za podbitą krainę, windykowali dla wszystkich murzynów bez różnicy prawa polityczne, których pozbawiono na południu wszystkich większych właścicieli, owych plantatorów, którzy byli duszą całéj rebelii, posiągnęli się nawet do myśli konfiskaty na ogromną skalę i rozdziału tych majątków pomiędzy murzynów. Ogłoszenie bankructwa celem wybrnięcia z fatalnego położena finansowego i inne podobne awanturnicze myśli poczęły się z czasem pokazywać na programie radykalistów. To właśnie zapędzenie się w ostateczności podkopało ich powagę i po krótkiém ich panowaniu w r. 1867, przeszedł kierunek spraw publicznych w ręce umiarkowanych, na których téż korzyść rozstrzygnęła się ostatnia walka wyborcza. Dnia 3 listopada z. r. został obrany prezydentem Stanów Zjednoczonych kandydat umiarkowanych, jenerał Ulisses Grant.

Zdobywca Wicksburgu i Richmondu, zwycięzca w tylu bitwach, dziś pierwszy urzędnik jednego z najpotężniejszych państw na kuli ziemskiéj, jest synem garbarza, Jessego Granta i urodził się w r. 1822 w Point Pleasant nad rzeką Ohio w państwie tegoż nazwiska. Mając siedmnaście lat, oświadczył ojcu, iż garbarstwo, któremu się dotychczas oddawał, jest mu wstrętném i że pragnie gruntownie się wykształcić. Nie mając sam dostatecznych funduszów, aby syna posłać do jakiego kolegium, postarał się ojciec, iż przyjęto młodego Ulissesa do szkoły wojskowéj w West-Point, jako stypendyata z państwa Ohio. (Każde państwo Stanów Zjednoczonych ma prawo posyłania bezpłatnie kilku uczniów do téj szkoły.) W cztery lata potém wstąpił Ulisses Grant po złożeniu examinów do armii jako porucznik, odbył następnie kampanią mexykańską, z któréj powrócił kapitanem. W roku 1850 ożenił się, w roku 1854 wziął dymisyą i został „farmerem,“ później prowadził książki handlowe garbarni swego ojca. Gdy wybuchła wojna domowa stawił się Grant do dyspozycyi gubernatorowi państwa Illinois, który go natychmiast pułkownikiem 21 pułku

ochotników mianował. Na czele tego pułku prowadził on w roku 1861 wojnę w Missouri, w następnym roku widzimy go jako jenerała brygady zdobywającego Fort Donelson, a z początkiem 1863 roku dowodzącego naczelnie oblężeniem Wicksburga. Mając tę silną twierdzę w swém ręku, panowali skonfederowani nad biegiem rzeki Mississipi, utrzymywali stósunki z Arkansas i Texas, leżącemi po prawéj stronie Mississipi; dopóki Wicksburg był w ich ręku nie mogli unioniści otoczyć zbuntowanych stanów nierozerwanym pasem wojsk, który późniéj po upadku Wicksburka coraz więcéj się zwężając, zgniótł ostatecznie bunt na błotnistych polach Wirginii. To też prezydent Stanów Skonfederowanych, Jefferson Davis, uznając ważność téj twierdzy, przybył sam do niéj, aby zachęcić jéj załogę do zaciekłéj obrony. W mowie mianéj do żołnierzy mówił Davis: „jeżeli się oprze to przedmurze wolności naszéj, konfederacya żyć będzie, jeżeli upadnie, to i konfederacya runie z niém razem.“ Ale los wojny nie troszczy się o szumne frazesy i gorące zaklęcia; z końcem 1863 roku był Wicksburg w ręku unionistów, a jenerał Grant, mianowany naczelnym wodzem armii Potomacu i wyniesiony do rangi jenerał-lejtnanta — którą to godnością przed nim tylko Washington i Wienfield Scott poszczycić się mogli — pospieszył na północne pole walki. Tutaj przy oblężeniu Petersburga i Richmondu rozwinął jenerał Grant tę samą energią, oględność, a przedewszystkiém wytrwałość — którą czasami za upór wziąśćby można— co przy oblężeniu Wicksburga. Było to w czerwcu 1864; jenerał Sherman rozpoczynał właśnie swój marsz tryumfalny przez Alabamę, Georgią i Carolinę południową, a linie oblężnicze ściskały coraz ściśléj Petersburg. Ów plan „węża boy“ (of anaconda), jak go zwali Południowcy, który polegał na tém, aby zepchnąć z wolna wszystkie siły skonfederowanych na jeden punkt i tam je zgnieść jednym zamachem, począł wchodzić w wykonanie. Trzeba było go rozbić. Posłano więc jenerałowi Johnstonowi rozkaz, aby pobił Shermana i zatrzymał go bądź co bądź, a jenerał Lee, naczelnie dowodzący wojskami skonfederowanemi pod Richmondem, miał zmusić Granta do cofnięcia się. Nie mogąc tego dokazać siłą, użył podstępu. Rozkazał on jenerałom Early i Breckenridge wpaść na czele 25,000 ludzi do Marylandu i ponieść trwogę wojny aż do Pensylwanii i pod mury Waszyngtonu. Rozkaz został spełniony, trwoga ogromna powstała w Północnych Stanach, w dziennikach podniesiono liczbę armii inwazyjnéj do 300,000, lecz Grant nie ruszył się. Patrzał on spokojnie na pustoszenie wiernych unii Stanów, gdy strategicznego znaczenia owa wyprawa nie miała żadnego i prowadził daléj rozpoczęte oblężenie, które też w rok późniéj pomyślnym zostało uwieńczone skutkiem. „Stój twardo!“ brzmi dewiza jenerała Granta, a kampania pod Wicksburgiem i Richmondem pokazuje, że słowa te nie są dlań czczym tylko frazesem.

Już w czasie wyborów w roku 1864 odzywały się głosy, które Granta na krzesło prezydenta forytowały, lecz wówczas odmówił on stanowczo, zaczém wdzięczny naród uczcił go tą razą tą najwyższą kraju godnością. W południe 4 marca rb. objął jenerał Grant swe urzędowanie i wprowadził się do „białego domu“ w Waszyngtonie. *Dr. St. W.*

Henryk Jabłoński.

I.

Nową stratę poniosła nasza literatura. Umarł dnia 2 stycznia rb. Henryk Jabłoński, konsul francuzki w Zanzibarze, w saméj sile wieku. Dzienniki francuzkie, a pierwszy paryzki Figaro, donosił o jego zgonie, jako o konsulu, który w zawodzie dyplomatycznym położył wydatne zasługi; my nie konsula śmierci, ale poety, poety w całém znaczeniu tego wyrazu żałujemy. Ubył nam z pod chorągwi młody, pełen zapału i talentu żołnierz duchowy — zastępcy niełatwo znaleść i szczerba w szeregu widoma. Jabłoński urodził się 1830 roku w Barze, owém słynném mieście z zawiązania konfederacyi barskiéj. W dziecinnych latach kąpał myśl swoję w świeżych tradycyach powstania listopadowego: skończywszy przeto szóstą klasę, opuścił ojczystą ziemię i poszedł na tułactwo, jak tysiące naszéj młodzieży. —

W roku 1854 w czasie kampanii krymskiéj widzimy go jako tłómacza sztabu floty francuzkiéj przy boku admirała Hamelina. Wówczas często odwiedzając Konstantynopol, gdzie po dni kilka bawił, zabrał bliższą znajomość z Włodzimierzem Kozłowskim, Karolem Brzozowskim (poetą — tłómaczem pieśni litewskich) i Zygmuntem Miłkowskim (T. T. Jeżem.) U Kozłowskiego bywały w onczas literackie wieczorki. Na nich czytano nowe utwory, lub gawędzono o wypadkach najbliższych. Czytelnikami bywali Brzozowski i Jabłoński. Wygłaszali oni zazwyczaj własne utwory, ale nierzadko słyszać się dawały ustępy z Mickiewicza i Słowackiego. Czasami też wywiązywała się dysputa i wytaczała krytyka. W takim razie Jabłoński stawał się słuchaczem, pilnie w umyśle notującym każdy wyraz, zwłaszcza z ust Brzozowskiego, dla którego miał wielki szacunek i którego „starszym swoim bratem“ nazywał. Pochodziło to ztąd, że nauka, któréj mu brakło, była jego gorącém pragnieniem; chciał się uczyć, przyznawał się do tego, oceniając konieczną jéj potrzebę. Na admiralskim okręcie, gdzie wszyscy, tak oficerowie, jak cała załoga, kochali szczerze młodego, pełnego skromności tłómacza, była bogata admirała biblioteka i ta stała dlań otworem. Zaopatrzoną szczególniéj była w dzieła odnoszące się do marynarki i przedmiotów, mających z nią styczność, jako to: historyi, geografii, historyi podróży, odkryć i handlu. Ponieważ zaś kampania odbywała się na Czarném morzu, zgromadzono do niéj książki, podające wiadomości o stósunkach czarnomorskich od najdawniejszych czasów. Jabłoński miał przeto do rozporządzenia skarbiec, w którym mógł czerpać do woli: miał przytém czasu poddostatkiem, bo służba jego, w nadzwyczajnych tylko razach powołująca do czynności, pozostawiała go zresztą swobodnym. Korzystał więc ze sposobności, zbogacał umysł, a pracował tak gorliwie, że oficerowie podziwiali jego wytrwałość i myśleli o rozrywkach dla niego. Admirał zaś pomyślał o jego przyszłości. Owocem pracy na okręcie była: „Historya handlu czarnomorskiego dawnéj Polski,“ drukowana w Dzienniku Literackim lwowskim. Jest to praca sumienna i na autentycznych dokumen-

tach oparta, która może posłużyć za przewodnika dla tego, coby chciał ten przedmiot wyczerpująco obrobić.

Po zakończeniu kampanii pojechał Jabłoński do Konstantynopola, zaopatrzony przez admirała Hamelina w jak najpochlebniejsze świadectwa i listy polecające, z których użytek mógł zrobić w Paryżu. Admirał przyrzekł mu poparcie w każdym zawodzie, jakiby sobie obrał, radził jednakże nie przebierać i — ponieważ rząd francuzki wynagradzał posadami przy misyach dyplomatycznych tych cudzoziemców, co do kategoryi Jabłońskiego należeli i podobne jego świadectwom złożyć mogli — brać posadę, jaką mu dadzą, byle ręce o co zaczepić. Jabłoński się wahał: zamyślał pozostać w Turcyi, wreszcie zdecydował się wyjechać do Paryża, gdzie niedługo otrzymał przeznaczenie na wyspę Zanzibaru, leżącą po drugiéj stronie równika, w charakterze dragomana-kanclerza przy tamecznym konsulacie ze znakomitą pensyą i z widokami na przyszłość. Ale to świetne położenie nie uszczęśliwiało go bynajmniéj. W listach swoich do przyjaciół, w roku 1855 pisanych, z całą boleścią wyraża tęsknotę swéj duszy. Wpośród dostatków wzdycha do suchego kawałka chleba, byle pomiędzy braćmi swoimi. Samotność strasznie go gnębiła, pomimo, że zwierzchnik jego, pan Cochet, konsul w Zanzibarze, był więcéj mu przyjacielem. Ten stósunek spowodował, że w parę lat później Jabłoński ożenił się z córką Cocheta. Po śmierci tego konsula zajął jego miejsce, z początku jako zmarłego zastępca, a wkrótce jako rzeczywisty konsul. Było to stanowisko wysokie w hierarchii dyplomatycznéj francuzkiéj. Nudy i tęsknota, jakich doznawał pomimo ożenienia, przytłumiał pracą. Do każdego listu do przyjaciół dołączał zawsze jaki utwór nowy, który zaraz drukowano w dziennikach lwowskich. Po zgonie pana Cochet'a — mniéj pisał, bo czas miał niemal cały zajęty obowiązkami konsularnemi: ztąd listy bywały coraz rzadsze, a z niemi i poetyczne utwory. Za życia teścia swego był więcéj swobodnym: Pan Cochet będąc dawniéj w Warszawie, zapoznał się z naszym językiem, poznał literaturę i umiał ocenić talent młodego poety, a pomocnika swego: i zostawiał mu dosyć wolnego czasu do pracy. — Klimat, jakkolwiek chwalony z łagodności, nie sprzyjał Jabłońskiemu. Gorąca nie są tam wprawdzie tak palące jak w Afryce, ale dla syna polskiéj ziemi — zawsze nieprzyjazne. Gasł zwolna — tęsknota do ojczyzny, do współbraci, dobijały go co chwila. I prochy jego spoczęły na tak dalekiéj wyspie! Umarł w 38 roku życia, właśnie w całéj pełności poetycznego talentu.

II.

Równocześnie, kiedy Jabłoński opuścił Europę i na Cejlonie z radością powitał jednę z rodzin polskich, wyszedł zbiorek poezyi jego w Wilnie nakładem J. Zawadzkiego 1857 roku p. n. Gwido i Dumki przez H. Jabłońskiego. Jakkolwiek utwory są to młodzieńczego pióra, już wykazywały dobitnie podnioślejszy talent poety. Krytyka przyjęła je nie tylko chętnie, ale z pewném nawet odznaczeniem i uwielbieniem, co spowodowało, że całe wydanie wkrótce rozchwytane zostało. Od 1848 roku już się jego wiersze pojawiały z podpisem Henryka z Baru: później przybrał pseudonim Kmita Wacław. Dwa pisma czasowe lwowskie: Nowiny i Dziennik Literacki (r. 1854—1860) drukowały dużo jego poezyi i listów ze Wschodu i Afryki, wielce zajmujących. Napisał dramat wierszem: Ostatnie Święto Światowida i powieść wierszem Dżuryło. W pierwszych jego utworach znać wpływ przeważny J. B. Zaleskiego i Juliusza Słowackiego, lubo wybija w nich już samodzielność młodego poety. W następnych szedł więcéj własną swoją drogą. Tęsknotę swoję, co mu wysysała krew z serca, aż wtrąciła do mogiły, najlepiéj sam maluje we wstępie do swoich dumek:

„Pod szum dąbrowy, pod wiatru szum
Z daleka do was dzwonię pieśniami.
Jeden, jedyny świat moich dum:
Rzewna tęsknota — za nią za wami!
Gdy serce boli, duch zapomina,
Że gdzieś tam wyższa duchów kraina,
Błądzę po stepach śród pustyń pól,
Do miłych wspomnień dumka przykuta,
A w oczach łzawo — a w sercu ból...
Toż się nie dziwcie, że smutna nóta:
Dumki me dziatki jednéj boleści,
Toż się nie dziwcie jednakiéj treści.
Gdyby łaskawszy wrócił mnie Bóg
Do niéj i do was, moi rówieśni!
Lotny wędrowiec z tęczowych dróg,
Jakieżbym nosił kwiaty a pieśni!
Dziś dumka kwili, w lewo czy w prawo,
Tu i tam tęskno. tu i tam łzawo!
A ten jedyny świat moich dum,
Jak jesień smutny, blady za mgłami.
Toż się nie dziwcie pod wiatru szum
Z daleka do was dwonię pieśniami.
A serce kwili — w lewo czy w prawo —
Tu i tam tęskno, tu i tam łzawo!"

Dziś gdy już darń zielona porosła na samotnéj mogile naszego poety, w miejsce pomnika dla uczczenia pamięci zgasłego, należałoby zebrać wszystkie jego utwory tak wierszem jak prozą i razem wraz z Gwidonem i Dumkami wydać. Możeby się znalazł i wizerunek Henryka Jabłońskiego. Talentem, zacnością charakteru, wzniosłemi uczuciami i gorącą miłością do kraju, stoi on w drugorzędnéj plejadzie poetów naszego okresu: ale jak mało kto zna wszystkie utwory jego pióra! Mniemamy, że najłatwiéj dałoby się to uskutecznić we Lwowie. ile że tam są wszystkie czasopisma pod ręką, w których poezye Jabłońskiego poprzednio drukowane były. *Wl.*

Sobotnia pogadanka.

Jeżeli w karnawale towarzyskie arterye naszéj społeczności żywiéj pulsują, to w wielkim poście zwykły tętna publicznego życia przyspieszać swe tempo. Punkt ciężkości przenosi się wtedy z skocznych nóg do myślących głów, a ze zmianą tą ogniska grawitacyi wchodzą na porządek dzienny w miejsce balów, redut, kuligów — zjazdy obywatelskie i walne zebrania rozmaitych towarzystw z całym przyborem mów, wniosków, poprawek, uchwał, komisyi i wyborów, bądź aklamacyjnych, bądź też karteczkowych. Staropolskie sejmiki rozkwitują wówczas na nowo w prowincyonalnych stolicach, lecz już nie w szlacheckim kontuszu z karabelą w ręku, na pół z pochwy wydobytą, z kieszenią pełną burd i nieszczęsném veto Sicińskiego na języku, ale w czarnym fraku parlamentarnym, zapiętym pod szyję z dżentelmeńską powagą i szklanką wody na mownicy.

W ostatnich dniach lutego ziemia pruska i nasze Księstwo wyprawiły sobie prawie równocześnie sejmikowe roki. Tam gospodarczy sejmik toruński, tu zaś doroczny wiec Towarzystwa Naukowéj Pomocy zgromadził z bliska i z daleka dostojną starszyznę.

O pierwszym jeszcze wczoraj rozpisywały się szeroko dzienniki. Jest to bowiem gagatek naszych nadwiślań-

skich Prusaków i rodzimy płód ich ducha — młody jeszcze, bo wraz z reichstagiem północnoniemieckim dopiero trzecią wiosnę liczy, ale roztropny, rutynowany, jak stary ćwik sejmowy. Od wszystkich pokrewnych sobie zjazdów różni się swą samorodnością. Bytu bowiem swego nie zawdzięcza statutom jakiegokolkiek stowarzyszenia lub korporacyi, lecz zbiera się sua sponte, jak mityng angielski, a mimo to przyjmuje poselstwa z Galicyi i Wielkopolski, ma drukowane roczniki i inne atrybuta peryodycznych zebrań na podobieństwo niemieckich żurnalisten- i juristentagów. Głównym przedmiotem obrad jego są kwestye agronomiczne, lecz obok merynosów, buraków, łubinu wyciąga on na stół czasem i żywotniejsze sprawy. Jest to bowiem najwyższa instancya moralna obywatelstwa pruskiego — źródło inicyatyw i projektów i zarazem seminaryum krasomówcze dla młodych jego talentów.

Inny charakter mają walne zgromadzenia Towarzystwa Naukowéj Pomocy, téj wielkiéj machiny społecznéj, produkującéj nam stan trzeci, którą Karól Marcinkowski w bieg puścił, a Hipolit Cegielski przy pomocy innych zasłużonych mężów przez 20 lat tak umiejętną kierował ręką. Na sejmiku gospodarskim figurują z natury rzeczy wyłącznie niemal panowie ziemianie — tutaj zaś znajdziesz reprezentowaną całą naszę inteligencyą, dbałą o szerzenie światła w narodzie. Księża, więksi i mniejsi właściciele dóbr, dzierżawcy, profesorowie, prawnicy, lekarze, kupcy zasiadają zgodnie do wspólnéj narady. Największy jednakże kontyngiens wysłanników na walne zebranie zwykło dostawiać zacne nasze duchowieństwo, które, nie mogąc uczestniczyć w innych pracach organicznych, stara się przynajmniéj na tém neutralném polu okazywać słowem i czynem swą troskliwość o podniesienie dobrobytu kraju. Tok obrad, dotyczących po większéj części budżetu i administracyjnych spraw Towarzystwa, przypomina dyskusye ciał prawodawczych. Naprzeciw izby poselskiéj, mającéj swego marszałka, występuje bowiem dyrekcya w roli ministerstwa, która robi „przedłożenia,“ podaje sprawozdania ze stanu Towarzystwa i odpowiada na interpelacye pojedyńczych posłów.

Odmienny znowu widok przedstawiają walne posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, o których jednakże dopiero późniéj pomówimy, gdy przypadający pod koniec postu zjazd doroczny się odbędzie. Zresztą w obecnéj porze nie mam o czém pisać. Poznań w cichości odprawia wielkopostne rekolekcye i czeka z upragnieniem odczytów popularnych, których nadzieja podobno znowu mu błysła.

XX.

ROZMAITOŚCI.

Pierścionek cesarzowéj Eugenii.

Było to 23 lipca 1794 r. — w ostatniéj godzinie teroryzmu rewolucyi francuzkiéj. W ciemnym lochu zamku Luksemburgskiego siedziała młoda kobieta z oczami czerwonemi od płaczu i wsparta na ręku. Była to Józefina Beauharnais, któréj męża w dniu tym stracono.

Nieszczęśliwa wdowa obawiając się podobnego losu, zdjęła pierścień z palca, ażeby przynajmniéj drogą tę pamiątkę po matce ukryć przed chciwą ręką oprawcy. Obejrzała szybko posadzkę i spostrzegła, iż jeden kamień w niéj dał się wyjąć; podniosła go więc, zagrzebała pierścionek w śmieciach i nakryła napowrót kryjówkę kamieniem. Smierć na rusztowaniu nie była jednakże przeznaczeniem Józefiny. Upadek Robespierra, który w cztery dni potém nastąpił, złagodził panujący teroryzm i otworzył drzwi więzienia Józefinie.

Po dwóch latach piękna ta wdowa oddała rękę młodemu i świeżą chwałą okrytemu jen. Bonaparte. Gdy Napoleon został pierwszym konsulem i zamieszkał w pałacu Luksemburgskim, Józefina przypomniała sobie o ukrytym w nim pierścionku. W towarzystwie męża udała się więc do dawniejszéj swéj celi więziennéj i z łatwością odszukała klejnot. Otarłszy go starannie z kurzu, włożyła na palec obok obrączki ślubnéj Napoleona.

Kilka lat minęło. Józefina została cesarzową i zasiadła na tronie obok najpotężniejszego monarchy. Wojna z Austryą właśnie się zaczęła; Napoleon wyruszając w pole, przybył się pożegnać ze swą małżonką. Pocałował szlachetne i piękne czoło Józefiny i ścisnął jéj rękę.

„Pani! — zawołał nagle zdziwiony, trzymając jeden z jéj palców — a gdzież masz obrączkę? Z przestrachem spostrzegła Józefina, iż miała na palcu tylko pierścionek swéj matki; obrączka zaś Napoleona znikła. Wszelkie poszukiwania były bezowocne. Cesarz pożegnał ją w złym humorze, a na wojnie téj zdobył sobie rękę arcyksiążniczki austryackiéj.

Od wypadku tego upłynęło 38 lat. Józefina przeżyła o kilka tylko lat swój rozwód. — Napoleon umarł 5 maja 1821 r. — syn jego, król rzymski, umarł także — a siostrzeniec jego i następca, Ludwik Napoleon, żył na wygnaniu w Londynie, nie mając prawie żadnych dla siebie widoków na przyszłość.

Pewnego dnia spotkał się w jedném z towarzystw francuskich z piękną hrabianką Montijo. Żywa Hiszpanka od razu spodobała się księciu. Rozmawiając z nią, spostrzegł na palcu jéj ślubną obrączkę, a zdziwiony tą nie zwykłą u panien ozdobą, ośmielił się zapytać o znaczenie téj obrączki.

Bez wahania opowiedziała Eugenia historyą jéj, która dziwnie księcia zajęła. W roku 1809 był hr. Montijo francuskim oficerem i mieszkał w Paryżu, córka zaś jego a matka Eugenii, jako małe dziewczątko, chodziła co dzień z nauczycielką na przechadzkę do ogrodu Tuilleryjskiego i tamże często się z innemi dziećmi bawiła. Pewnego dnia wracając do domu hrabianka, pokazała swéj nauczycielce złotą obrączkę, mówiąc, iż dostała ją od małego chłopczyka, czołgającego się w piasku. Nauczycielka wróciła natychmiast, lecz ani tą razą, ani następnych dni chłopca nie ujrzała. Tak więc obrączka pozostała przy małéj dziewczynce. Dziewczynka ta dorosłszy, poszła za mąż za swego stryja, a 5 maja 1826 została matką Eugenii. Na tę właśnie pamiątkę kazała w obrączce wyryć dzień 5 maja, gdyż szczególniejsze miała do niéj przywiązanie; w dzień zaś pierwszéj komunii darowała pierścionek córce, która go odtąd nosiła na palcu. Eugenia opowiedziawszy tę historyą, zdjęła obrączkę z palca i podała ją księciu. Na obrączce był wyryty 5 maj, jako dzień urodzin Eugenii, a zarazem śmierci Napoleona; prócz tego jeszcze było widać litery: J. B. i N. B. Ah! to obrączka ślubna Józefiny! — zawołał książę, przejęty tém szczególném zdarzeniem. — To nagłe zniknięcie obrączki od dawna nas niepokoiło i było dla nas niepojętém. Teraz się tajemnica wykryła. Tym małym chłopcem, który w piasku igrał w ogrodzie, byłem ja nie zawodnie. Miałem w ówczas rok i pewno bawiąc się z mą ciotką, cesarzową Józefiną, zdjąłem jéj obrączkę z palca, zabrałem z sobą do ogrodu i tamże zgubiłem. Tak! tak! dodał uradowany, jest to obrączka Józefiny — drogi talizman domu naszego.

Tak dziwnie znaleziona obrączka Józefiny przyniosła szczęście Eugenii. Ludwik Napoleon w kilka lat bowiem został cesarzem i pojął hrabiankę Montijo za żonę.

W. T.

Szarada.

Jeżeli wprost mnie przeczytasz,
Skrzywisz się, ale powitasz,
Bo wszak słyszałeś kazanie,
Że dziś moje panowanie.
Zaś wspak przeczytane
Było używane!!
Krasiło,
Łudziło,
Wdziękiem czarowało,
Uroku dodało.
Dziś zmiana — niestety!
Znikły barwy — bukiety.
Umilkły wesołe szały
A moje rządy nastały.

(Rozwiązanie szarady w nr. 10: ***Wykradzenie***.)

Sprostowanie.

W sonecie „Wspomnienie pociechą“ (str. 75) zamiast: „Dzisiaj, gdy w przeszłość moję wpatrzę się tajemną“, należy czytać: „Dzisiaj, gdy w przyszłość“ itd.

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu „z nad jeziora.“ Wolimy na tém miejscu zamieścić płód Pańskiéj Muzy: „Pierwsze znaczy powtórzenie — Drugie nosa zamulenie (sic!!), A wszystko razem człek w słowie i czynie — Chodzi po Berlinie.“ — Co za genialna szarada! — Panu N. N.: Źle, kiedy Pan własnéj zagadki nie umiesz rozwiązać. Oznacza ona nie „Koniecpolski“, lecz „Sobieski.“ — Panu z pod Kiszkowa: Dziękujemy. — P. Prof. Andrzejewski w Chełmnie: List, w którym ktoś nadużył Pańskiego nazwiska, posłaliśmy już Panu pocztą.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu. — Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu